

Fabrice Hadjadj: Głębia płci. Esej o mistyce ciała

Gdyby Adam i Ewa „poznali się” w przeczystym akcie ciała, odkrywając niewymowną radość niezakłóconej komunii, mogliby uodpornić się na pokusę nieczystego ducha. Lecz Ewa zamiast zjednoczyć się z mężem, oddała się i zostaje sama wydana na pastwę Węża robiącego za kierownika duchowego. Resztę już znamy. Zamiast smakować owocu poznania swojej żony, Adam zje owoc z drzewa Gnozy – tego Poznania, które odrzuca Wcielenie – pisze Fabrice Hadjadj w eseju „Głębia płci”. Przeczytaj jego fragment w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Boskie Ciało.

Ku nowej gnozie

Gnostycyzm to mgławica, która mieści w sobie nurty tak różne, jak gnoza Maniego, Marcjona czy Karpokratesa. Już sama nazwa jest kłamliwa, ponieważ gnostycka wiedza (*gnosis*) nie jest wiedzą prawdziwą. Ta plastyczność pojęcia prawdopodobnie jest jego słabością, gdyż nieuchronnie prowadzi do niejasności. Lecz jest również siłą umożliwiającą mu nowe podboje. Z jego pomocą możemy zdemaskować powroty starej doktryny wystrojonej w odświeżone łąchy. Dawni gnostycy bowiem, nawet gdy prowadzili spory za różnymi maskami, wyrosli z tej samej zasady: że świat materialny jest dziełem złego demiurga.

Z nienawiści do prawdziwego Boga demiurg ten uwięził iskrę naszych dusz w śmiertelnym błocie ciała. Trzeba je więc wydać albo na najbardziej rozwiązłą hulankę, albo na najsurowsze umartwienie. Rozpusta i kastracja pochodzą z tego samego źródła: ciało nie może być świątynią ducha, lecz nieczułą lub nieczystą masą. Płodzenie było najśmiertelniejszym grzechem o znamionach sadystycznego egoizmu. Było gorsze od zabójstwa, bo to przynajmniej przecina liny, którymi jesteśmy przycumowani do bagien. Jeśli więc, mimo środków ostrożności, zbłąkane nasienie doprowadzało do poczęcia (kazania zalecały stosować kanały nieodpowiednie do zajścia podobnego nieszczęścia), wstrętą matrycę opróżniano, a z płodu czyniono pasztet, dodając przypraw, w duchu pokuty. Wyznawcy dzielili się nim podczas świętej Wieczerzy. Był to obrzęd miłosierdzia, gdyż nie dopuszczono, by diabeł zamknął duszę w bolącej sztuce mięsa.

Na pierwszy rzut oka dzisiejszy hedonista nie ma nic wspólnego z dawnym gnostykiem. Wyśmiewa jego mitologię. Oburza się na jego krwawe rytuały. Odrzuca jego daleką pleromę, ten duchowy raj oddzielony od materii. Jednak stosuje tę samą strukturę myślową. Wbrew swoim hucznym deklaracjom nie umie przyjąć ciała, jakim ono jest – a przecież nie jest niewyczerpanym źródłem przyjemności: na zaledwie kilka uciech – ileż to braków! I nie mówię tu bynajmniej o patologiach ciała, lecz o granicach związanych z jego normalną budową: ta ograniczona powierzchnia, te nagłe skurcze, ten dziób – co prawda – nie do zastąpienia, ale właśnie niestety – nie do zastąpienia! W końcu ten organ, którego wada fabryczna rzuca się w oczy i którego nie można nawet odesłać sprzedawcy. Gdy się pomyśli, że niektóre wije mają ich po dwa, że taka ostryga jest obupłciowa, że zwykły pudel posiada kość prącia, że krzewowi żarnowca do zapylenia wystarczy przelot trzmiela, a kwiatom baobabu samo pragnienie nietoperzy! Och,

w obliczu takich nierówności jak tu nie myśleć, że natura jest faszystką? Jak tu nie uznać jej za głównego wroga, gdy za przyjemność z kobietą jej głupie automatyzmy zostawiają nam dzieciaka?

Żeby być prawdziwym materialistą, trzeba by wierzyć w dobrego Stwórcę: ograniczenia ciała byłyby drogowskazami, nierówności stałyby się okazją do wspólnej wymiany, bóle nabrałyby sensu prób. Bez wiary w tę tajemniczą Opatrzność rodzaj ludzki jest tylko niewyraźnym obiektem zatrzymanym w kadrze nieuchwytnej ewolucji, chwilowym ocaleńcem z twardej walki o życie. Dlaczego miałoby mu zależeć na ciele, skoro jest ono dziełem przypadku? Przecież to tylko niedoskonały twór, zmajstrowana forma przejściowa. Przypadkowa powłoka, okolicznościowy habit. Ale zawsze możemy go zrzucić. Nawet powinniśmy wyprzedzić przyszłą mutację, produkując gatunek wedle naszego życzenia: bardziej efektywny, bardziej podatny na doznania, po prostu nadczłowieka, to znaczy rybę w wodzie... Nie wierzymy już w złego demiurga, ale ponieważ przestaliśmy też wierzyć w dobrego Boga, skutek jest ten sam: ciało, w swoim wykluwaniu się ku śmierci, nie może być dobre. I chociaż nie wierzymy w żadną nadniebiańską pleromę, to nie wierzymy również, że ta ziemia jest darem nieba: tylko sztuczne raje są dla nas miejscem uwolnienia.

Ten gnostycki dualizm widać w naszej antagonistycznej koncepcji natury i wolności. Naturę pojmujemy jako biologiczny determinizm, wolność – jako wyzwolenie się z wszelkiego zdeterminowania. Wolność jest więc dla nas przeciwieństwem natury: mocą sprzeciwiającą się naturze, władzą przetwarzania samego siebie. Ta nieokreślona władza nie może już zadowolić się skończonością skóry. Chce rozpruć jej szwy.

Rozerwie jej materię. Środków dostarcza jej technika. Orlan, artystka-rozpruwaczka siebie samej, jest jej przyszłą Ewą. Naturalne uwarunkowania mają być posłuszne machinacjom naszej woli.

Lecz cóż to jest ta nasza wola, ta słaba siła? Jednego dnia chce tego, czego już nie chce nazajutrz. Coś tam postanawia i zatrzymuje się w połowie drogi do jego osiągnięcia. Kiedy odrzuca wskazówki natury, waha się między tysiącem możliwości. Właściciel smoka wytatuowanego na torsie teraz żałuje, bo wolałby kaktusa, a i tak będzie musiał woleć dużą bliznę. Piękność o nosie zakrzywionym w falę – gdy tylko fala minie, a z nią konieczność wzbudzania zachwyty – zastanowi się, czy aby dobrze zrobiła, pozbywając się tego garbu, który był spadkiem po tacie i po burbońskim herbie. Transseksualizm – czemu nie? Gdybyśmy mieli wrodzoną zdolność przechodzenia z jednej płci do drugiej, a potem wracania do pierwszej... W przeciwnym razie istnieje obawa, że zostaniemy z tym, na co nas skazuje nasze pragnienie. Świat stworzony z naszych zachcianek na pewno nie byłby ani bardziej wolny, ani mniej niebezpieczny niż ten, który ukształtowała natura.

Lecz za projektem zbawienia przez technikę kryje się inne marzenie, które czyni z niej siłą sprawczą tego przedsięwzięcia i skrywa przed nami jego koszmar. Jest nim to, co Heidegger nazywa „wolą woli” [1]. Nie chcemy już pełnić woli żadnego boga, lecz chcemy wierzyć, że nasza wola jest boska, lepsza niż ten świat, że jest pozaziemską iskrą zduszoną przez jego popioły. Nasza wola staje się miarą istnienia. Jest instancją prawdy. Nieplanowana ciąża na przykład nie może być większa niż moja wola, nie może być zdarzeniem, które mogłoby ją uszlachetnić. Tylko że ja czuję się czymś więcej niż wolą mojej matki i czymś więcej niż efektem jej pragnienia. Muszę też przyznać uczciwie, że sam czuję, jak bardzo moja własna wola jest niestała i jak moje „ja

chęć” – w swej niewzruszonej sztywności, w swym bezlitosnym nakazie – jest zaledwie fikcją gramatyki. Ale nieważne. Ja chcę chcieć. Kłaniam się bożkowi mej woli, którą mam za coś najwyższego. Jest przecież tym dobrym bóstwem, które unosi się nad dziełem stworzonym przez złego ducha – Przypadek.

Mamy tu wszystkie elementy gnozy. Nowa religia może powoływać swoich uczniów. Jej patronem – lepszym niż tytan Prometeusz – jest inżynier Dedal. To prawda, że kradzież ognia jest tu zasadnicza, bo dzięki niej jest czym karmić wyznawców[2]. Lecz to labirynt jest tym cudownym wynalazkiem. Jesteśmy zamknięci w więzieniu – a ponieważ cały czas kroczymy naprzód, nie znając drogi i myśląc, że za każdym zakrętem jest wyjście – może nam się wydawać, że jesteśmy na miłym spacerku. W tym położeniu znajdujemy się właśnie dziś.

Mariaż Dedala i Pazyfae

Matką Ariadny i Fedry jest córka Słońca. Jej życie sentymentalne zwiastuje naszą świetlaną epokę. Jej mąż, Minos, zdradza ją z wieloma, lecz ona nie jest kobietą, która się łatwo poddaje. Rzuca na niego czar, który ma mu wybić z głowy skłonność do romansów: w szczytowym momencie zamiast nasienia wytryskują szczypawki, gryzące owady, małe skorpionki, które zżerają jego kochanki od środka. Jednak największa jej zemsta dotknie go w związku z czymś, co spadnie na nią samą i czego w ogóle nie planowała. Do białego jak śnieg byka, daru Posejdona, zapala królowa nieodpartą namiętnością. Los po dwakroć okrutny: to była miłość bez wzajemności. Byk chętnie zbliża się, by jeść trawę z jej dłoni, lecz gdy chodzi o krycie, przepiękna Kretenka nie mieści się w byczych kanonach piękna. On wolałby już starą krowę albo

i ostatnią jałówkę z pola. Przeklęte granice międzygatunkowe! Na szczęście siła pragnień wsparta istic Darwinowską tolerancją pozwala mieć nadzieję, że się je w końcu obali.

Aby zwabić zwierzę i rozszerzyć ofiarę z własnego zadka, Pazyfae prosi o pomoc swego inżyniera. Jak koń Ulissessa miał wprowadzić Achajów do Troi, tak krowa Dedala wprowadzi zwierzę do Pazyfae. Na tym cudzie technologii, wenerycznej wersji Złotego Cielca rozciągnie się kobieta jak na obszarze wszelkich transgresji. Montherlant przypisuje jej takie oto żarliwe słowa: *Jestem córką Heliosa, a miałabym kochać tylko ludzi? Z czyjego nakazu? Gdzie tak napisano? Nie, nie ma granic! Jak mój ojciec chcę ogarniać, przenikać wszystko, co istnieje! Dziś wieczór w maszynie Dedala, niczym leżąc na dnie porywistego potoku, poczuję, jak przepłynie na mnie całe stworzenie rzeką mocy i krwi*[3].

Podziwiam tę Pazyfae biorącą byka za rogi. Mam do niej więcej szacunku niż do kobiety, która od swego małżeństwa odcina wszystkie nowoczesne wygody. Właściwie to jest o krok od chrześcijańskiej mistyki: wystarczyłoby tylko zastąpić „maszynę Dedala” „łaską Bożą”, a jej tyrada nasyciłaby się przeszywającą ortodoksją. Zresztą to my jesteśmy Pazyfae. Światło naszego umysłu, jak Słońce, oświetla wszystkie rzeczy. Inne zwierzęta, kierujące się instynktem, chwytają zaledwie ograniczone przyjemności – a zawsze te same: samiczka pchły łączy się ze swym samczykiem, ropuch ze swoją ropuchą, osioł uparcie woli sieczkę od złota, a świnia – błoto od czystej wody[4]. A my? My jesteśmy osłami, które pożerają również książki, świniami, które kochają brać kąpiel. My możemy przyjmować, przenikać, opiewać „wszystko, co istnieje”, w stopniu niewyobrażalnym. Czy – gdyby dane nam było przyjąć do siebie „całe stworzenie jak rzekę” – czyż byśmy go nie przyjęli?

Teresa z Lisieux bez rumieńców mówiła, że *pragnie* być wszystkim i *spełnić* każde *powołanie*[5]. Lecz rozumiała, że nie można być jednocześnie księdzem i kobietą, matką rodziny i zakonnica, dziewicą i nawróconą nierządnicą, męczennicą przez ścięcie głowy i męczennicą przez zanurzenie we wrzącym oleju. Trzeba wybrać. A wybrać jedno znaczy zrezygnować z drugiego. Chyba że ponad wszystkim wybierze się serce, źródło wszystkich stworzeń, to, co w swojej jedności zawiera je wszystkie. Mała Teresa otwiera się szerzej niż wielka Pazyfae. Nie pragnęłaby zespolić się z jednym bykiem, ale ze Stworzycielem wszystkich byków łącznie, a także skał, kwiatów, żab i aniołów...

Pazyfae zadowala się miernym spełnieniem. Bo w jaki sposób ten byczy narząd miałby być wszelkim stworzeniem przepływającym przez nią, a nie raczej nią samą zmieniającą się w nicość? Niższą i wyższą ekstazę łączy to, że w obu wykraczamy poza siebie. Lecz wyższa wznosi, a niższa strąca. O ile obie otwierają na wymiar pionowy, to upadek jest czymś zgoła innym niż wyniesienie. Pazyfae myli bycze wtargnięcie z boskim owładnięciem. To częsta pomyłka.

To, co jednostkowe, pewnie może zawrzeć w sobie to, co uniwersalne. Uczy nas o tym poeta, który w spadającym liściu dostrzega obraz swego losu, a symbol płodności – w masywności byka. Jednak pod tym względem Minos jest bogatszy niż rogata bestia. A najgłupsza gęś, nawet karłowata, mieści w sobie całe konstelacje. Na widok Małgorzaty Faust wydaje okrzyk: *Aż tyle piękna więc w kobiecie? / Czy to możliwe? [by] To uśpione ciało / Całą się napełniło niebios chwałą?*[6] Ukochana nie jest boginią – myśląc tak, popadamy w zgubne bałwochwalstwo – a jednak jest kosmosem, który możemy trzymać w ramionach. W niej skupia się królestwo nieożywione, roślinne, zwierzęce, a nawet

anielskie. Historia całej ludzkości mknie w jej historii. Jej ciało kipi metaforami, a są one prawdziwsze i bardziej naukowe niż każdy traktat o anatomii.

Żeby jednak dostrzec tę głębię, musielibyśmy mieć cierpliwość kontemplacji, a nam została tylko niecierpliwość techniki. Potrzebna by nam była pokora modlitwy, a nam została tylko próżność zdobywców. I jeśli istnieje jeszcze dla nas nierozzerwalne małżeństwo, to jest to mariaż Dedala i Pazyfae. Maszyna natychmiast przybywa w sukurs pożądanemu i spełnia je tak szybko, że nie daje mu czasu, by się uwzniośliło. Rozkosz jest poddawana perfekcji, erekcja – elektryzacji, wszystko między parą ludzi-maszyn ma działać tak sprawnie, że nie ma już miejsca na żadną komunie. Tymczasem radość prawdziwej komunii wymaga krwawienia. Mamy w niej zejść aż tam, gdzie boli. W niej współżyją trwogi, nie tylko sytości. W niej wyznają się słabości, nie tylko wyczyny. Lecz dziś wszystko ma działać z mechanicznym posłuszeństwem, z natychmiastowym zapłonem... Dwoje ludzi nie ma nawet prawa się pokłócić. A już biada temu, u kogo awaria trwa za długo! Popełnił niewybaczalny grzech.

Przeciwko spirytualizacji instynktów

Pospolity ewolucjonizm wolałby nie widzieć, że taki zachwyty jest w nas czymś pierwszorzędnym. Wszystko sprowadza do walki o życie i do sprytu używanego w celu obrony. Jest niemal pewien prostego przejścia zwierzęcia w człowieka, a powoduje je radykalne rozdzielenie: ponieważ człowiek i zwierzę zajmują ten sam teren, wchodzi z sobą w konflikt, rywalizują, walczą o dominację – tak z zewnątrz, jak i od środka. Podobnie jak dawne gnozy, ewolucjonizm prowadzi do

dualistycznej wizji człowieka. Rozum jest według niego nowym nabytkiem, piętrem dobudowanym do wcześniejszych, dodatkiem zaszczerpionym do małpiej, końskiej i gadziej części mózgu. Jest dyrektorem zoo, który co rano musi tresować swoje okazy. W naszym wnętrzu drzemią resztki zwierzęcych instynktów, które należy uduchować. Naszymi niższymi rejonami kierują brutalne popędy. Musimy więc je poskromić przez sublimację.

Kto jednak wie, czy cała ta cyrkowa sublimacja nie jest związana z jakimś wyparciem? Wszystko wskazuje na to, że „popęd” jest wymysłem nowoczesności powstałym z turbiną parową i udoskonalonym z dzwonkiem alarmowym. W starożytności szaleństwo ogarniające ludzi przypisywano raczej złym duchom. Nikomu nie przyszło do głowy, że trzeba ćwiczyć jakieś wewnętrzne bestiarium. Taka dualistyczna moralność nakazująca uduchawiać „wrażę instynkta” nie wytrzymałaby najmniejszej krytyki.

Tymczasem instynkt zwierzęcy tworzy bardzo uporządkowane życie, a nie dziką anarchię: w roju pszczół panuje organizacja godna Taylora, para skorpionów maszeruje – szczytce w szczytce – jak para nowożeńców prosto do urzędu. I nawet gdy modliszka nabożnie pozbawia głowy swego samca[7], to tylko po to, by – andrologicznie – zwiększyć jego potencjał rozrodczy. Instynkt odpowiada naturze. Nie ma w nim nic z przemocy. Prosię je jak prosię i w ten sposób daje dowód swego dobrego wychowania. Sroka skrzeczy jak sroka, a jej skrzek idealnie się mieści w metrum sroczego śpiewu. Gdybyśmy mieli w sobie instynkty zwierząt, nasze maniery byłyby sztywniejsze niż wiktoriańska Anglia. Patrzcie, jak po senatorsku spaceruje gołąb. Nam, ludziom, brakuje tak żelaznej konsekwencji. Dobrze to tłumaczy

ogrodnik Beaumarchais'go, który na zarzut pijaństwa odpowiada Hrabinie: *Pić bez pragnienia i czulić się o każdej porze roku, wszak to jedno odróżnia nas od innych bydła*[8].

A odróżnia nas tak bardzo, że – z drugiej strony – zwierzęta mogą być dla nas symbolami cnoty. Bazyli z Cezarei w locie żurawi dostrzega model porządku, w kopulacji żmij – wzór miłości małżeńskiej, a w psie, który idzie za panem – klasyczny przykład wierności: *Czyż ta myśl może nie budzić poczucia wstydu w człowieku niewdzięcznym wobec swych dobroczyńców?*[9] Jan z Karpatos proponował mnichom, by wzorowali się na najmniejszych owadach: *Popatrz na pająka: o nic nie zabiega, w niczym nie obstaje, niczego nie gromadzi. Jego życie płynie w całkowitym spokoju i czystości, w największej ciszy.* Uważał nawet, że niewierzący po to, by nie zwątpić w Boga, winien nade wszystko kontemplować gąsienice; wiedział bowiem, że to, co pełza, może któregoś dnia polecieć[10].

Takie stwierdzenia wskazują na to, że moralny nieład nie pochodzi w człowieku ze zwierzęcego ciała, którego wyższy duch nie umie okiełznać, lecz raczej z zepsutego ducha, który wykorzystuje bezbronne ciało:

*Nie posądzaj ciała, jak kobieta,
która posądza służącą!
Posądzaj ducha nieczystego!*[11]

Pycha jest zawsze ojcem lub dziadkiem nieprawości. To pod jej wpływem duch traci rozum i bierze we władanie ciało, które urabia – jak plastelinę – według swych zachcianek. Postępuje jak Balaam ze swoją oślicą przekonany, że to głupie cielsko nic mu nie może powiedzieć i że on wie najlepiej: po co się tak zapiera? Dlaczego zbacza z drogi? Czemu tak nagle kładzie się pod swym tyranem jak nieżywa? Okłada ją kijem, lecz gdyby miał w ręku miecz, to by ją zabił. Lecz nagle zwierzę przemawia niczym Chrystus do Saula: *Cóż ci uczyniłam, żeś mnie tak zbił?* (Lb 22, 28). I Jahwe wyjawia prorokowi: *Oślica ujrzała Mnie, podczas gdy ciebie, Balaamie, zaślepiała twa pycha.*

Do niego właśnie są podobni ci, którzy pragną uduchawiać jakieś instynkty. Chcą sobie oszczędzić ponizającego wsłuchiwanie się w ten „wielki rozum” wtopiony w ciało[12]. Nie są na tyle zuchwali, by uznać go rozumnie. Rozumiem ich opory. Bo jak tu przyznać, że tak kapryśne narządy, praktycznie takie jak u bonobo, mają jakąś podskórną mądrość? Zwierzę mówiące[13] nie jest przecież bydlęciem, któremu dodano by mowę jak lśniąca wisienkę na ogromnym torcie. Człowiek cały jest zmysłami i cały mową. Jego ciało jest wymowne. Jego mowa jest cielesna. Dlatego też muszę przyznać rację proboszczowi z Meudon, że *Mentula tua habet mentem*[14]. Co w przyzwoitym przekładzie daje mi: *Świadomość bez cielesności jest tylko ruiną duszy.* U człowieka relacja czysto fizyczna jest jednocześnie relacją na wskroś duchową. A im mniej jest duchowa, tym również mniej fizyczna. Ale być może właśnie to wolimy. Bo gdzie mielibyśmy się skryć przed Jego Obliczem, gdyby zejście na poziom podbrzuszy miało być dla nas wejściem na poziom misteriów?

Przez pierwotną ranę

Za tym, co wygląda na kwestię czysto techniczną, Tomasz z Akwinu dostrzega teologiczną otchłań. Zaczyna takim oto naiwnym, acz trzeźwym pytaniem: *Czy w stanie niewinności do rodzenia dochodziłoby drogą spółkowania?* Grzegorz z Nyssy w swojej rozprawie *O człowieku* podobno uważał, że gdyby nie było grzechu pierworodnego, rodzaj ludzki rozmnażałby się *jak zostali rozmnożeni aniołowie: bez spółkowania (absque concubitu), działaniem Bożej potęgi*[15]. Stąpający twardo po ziemi Tomasz, którego zwano „milczącym wołem z Sycylii”, na taki niebezpieczny spirytualizm zaryczał: *ależ oczywiście, że byłoby spółkowanie! I że nawet białe gęsi wiedzą, że niewinność nie polega na odcieleśnionej miłości! Lecz – precyzuje ten wielki doktor, cytując świętego Augustyna – narządy rodzenia, jak i inne członki, spełniałyby to zadanie zależnie od rozkazu woli: bez namiętności i uwodzicielskiej żądzy, przy spokojności duszy i ciała*[16]. Następnie dodaje, że rozum byłby wolny od wpływu pożądliwości i że – z racji zachowania swego rozsądku – nie gasiłby rozkoszy, lecz podnosił ją na wyższy poziom: *W stanie niewinności nie byłoby w tej sferze niczego, nad czym by rozum nie miał panowania. Nie dlatego, jak twierdzą niektórzy, żeby rozkosz odczuwana zmysłami była mniejsza (rozkosz zmysłowa byłaby bowiem tym większa, im natura byłaby czystsza, a ciało wrażliwsze), ale dlatego, że siła pożądliwa nie wyżywałaby się w rozkoszach w sposób nieokiełzany: byłaby opanowana przez rozum. Do rozumu bowiem nie należy zmniejszanie rozkoszy zmysłowej, ale czuwanie, żeby siła pożądliwa nie przywiązywała się do rozkoszy w sposób nieumiarkowany*[17].

To nauczanie Kościoła jest dosłownie wywrotowe. Ci, którzy szerzą pogląd, że grzech pierworodny jest skutkiem współżycia, barykadują się za ciemnym oszczerstwem. Według Tomasza mogło być dokładnie odwrotnie: gdyby Adam i Ewa „poznali się” w przeczystym akcie ciała,

odkrywając niewymowną radość niezakłóconej komunii, mogliby uodpornić się na pokusę nieczystego ducha. Lecz Ewa zamiast zjednoczyć się z mężem, oddała się i zostaje sama wydana na pastwę Węża robiącego za kierownika duchowego. Resztę już znamy. Zamiast smakować owocu *poznania* swojej żony, Adam zje owoc z drzewa Gnozy – tego Poznania, które odrzuca Wcielenie.

W tym stanie łaski, w którym Bóg stworzył pierwsze małżeństwo, akt cielesny mógł być aktem pobożności. Centralna teza Tomasza jest taka, że zmysłowość nie miałyby panowania nad rozumem. Niektórzy powiedzą, że szkoda (i z punktu widzenia naszego obecnej kondycji nie całkiem się mylą): – Więc nie byłoby tego zawrotu głowy, tej ekstazy, tej eksplozji? – Ależ tak, tyle że nie skierowanych do dołu – jak przy tąpnięciu, ale ku górze – jak przy wniebowzięciu. Ponieważ umysł byłby w pełni swoich władz, rozkosz sama w sobie byłaby – z jednej strony – wolna od przesytu: rosłaby w nieskończoność, doskonaliła i bez żadnej przeszkody wznosiła się nad siódme niebo. Z drugiej strony nie mąciłyby wcale radości duchowej: Adam mógłby poznawać swoją żonę, nie wychodząc z kontemplacji. Wnikałby w nią aż do jej wiecznego źródła. Ewa przyjęłaby go jak dar od Boga. Rzeczywiście wpuściłaby go do klasztoru, kaplicy i baptysterium. Najpierw *nie naruszając dziewiczej całości, udzielałaby się małżonek łonu swej małżonki; następnie przed urodzeniem nie bolesne stękanie niewiasty, lecz podnieta dojrzałości płodu rozluźniałaby wnętrzości matczyne*[18]; ponadto poczęcie byłoby częściowo chrztem, bo żaden grzech natury nie przeszedłby na dziecko z komórką i nasieniem, które byłyby tak czyste, jak woda chrzcielna, której ksiądz używa przy wypowiedaniu trynitarnej formuły[19]. W końcu to był Raj. *Nawet by też nie było żadnych wyrazów, które by można było nazwać nieprzyzwoitymi, lecz cokolwiek by się o tych członkach mówiło, byłoby tak samo przyzwoite jak kiedy się mówi o innych częściach ciała*[20].

Zrozumiały więc, że targa nami pewna nostalgia: prostoduszni katolicy będą mówić, że w akcie małżeńskim wszystko jest wspaniałe, łatwowierni priapowie będą szukać drzewa życia w swoim wyrku. I jedni, i drudzy chcieliby wrócić do Raju przez włamanie. Lecz drogę zagradza nam anioł z mieczem ognistym. Części święte są odtąd częściami wstydliwymi. Wobec nich posłuszeństwo się chwieje, lubieżność się wdziera, a rozum się miesza. Teraz byśmy chcieli, by podczas zbliżenia rozum był całkowicie przytomny, byśmy działali na chłodno, niemal jak zwierzęta. Taki purytanizm – zupełnie jak afrodyzjaki – świadczy o pragnieniu nienależnego panowania, które chciałoby zapomnieć o istnieniu pierworodnej rany. Romantyczka i libertyn, świętoszka i świętuch – wszyscy oni chcą odzyskać kontrolę i stworzyć sobie arcyznośną lekkość. Tylko że między naszymi nogami teraz zionie przepaść. Nie możemy już *ani na chwilę wejść do Raju, jak tylko przez wrota ponizenia i śmierci*[21].

I tu nagle pojawia się oczywistość pod postacią najbardziej skandalicznej ortodoksji: niesubordynacja naszych płci jest po to, byśmy stali się czysti. Bunt spomiędzy naszych ud ma nam przypominać o naszej nędzy. To oczywiste, ponieważ jest sankcją i – jak każda sankcja, co sugeruje nazwa – ma na celu usankcjonowanie tego, co nie było *sanctum*[22]. W tym właśnie tkwi skandal, bo moralizm, podobnie jak immoralizm, wzdraga się przed przyjęciem podobnej prawdy. W jaki bowiem sposób zachcianki naszych podbrzuszy miałyby być w ręku Boga? A jednak święty Augustyn potwierdza: *Bo w nieposłuszeństwie [natury ludzkiej], przez które rodnymi członkami ciała tak zawładnęła, że tylko swoim popędem posłusznymi je uczyniła, wyjąwszy je spod władzy woli – w tym jej nieposłuszeństwie jest wystarczający dowód, jaka była zapłata dana człowiekowi za pierwsze owo nieposłuszeństwo*[23]. Człowiek sprzeciwił się temu, co było ponad

nim, więc za zapłatę otrzymał sprzeciw tego, co jest niżej niego. Jeśli w raju wola miała panowanie nad częściami płciowymi, to dlatego, że sama była poddana panowaniu Odwiecznego. Z chwilą gdy postanowiła nadać sobie całą władzę, członki człowieka odmawiają jej posłuszeństwa. Trzykrotnie przypominają mu jego skończoność: przez utratę władzy wobec ukochanej, przez utratę władzy podczas aktu i przez utratę władzy po akcie – z samą płodnością włącznie.

Ta kara grzechu pierworodnego sama w sobie nie jest grzechem. Jest nauką. Lecznicy upuszczeniem krwi. W niej twardej dostaje lekcję pokochania kogoś bardziej, niż tego by chciała jego wola. Już nie jest taki twardy. Tu pęka jego pycha. Lecz może również zdarzyć się tak, że popadnie w zatwardziałość na zawsze. Nieznośna utrata władzy wzbudza w nim pragnienie dzikiego panowania. Do swojej rany przykładają żelazo, które służyło za kauter[24]. Oto największa próba. To, co rozpasane fizycznie, odsyła do tego, co ciężkie duchowo. Ciemność zbliżenia ma w sobie straszliwą jasność. Wprost na naszej płciowości brzmią słowa *Magnificat: Strąca władców z tronu* (Łk 1, 52). Eros spełnia się tylko przez takie strącenie.

Nieczystość czystej miłości

Jak dotąd – co, być może, niektórych zbulwersuje – raczej niewiele mówiłem o miłości. A to dlatego, że miłość nader często służy za jokera. Tak wśród katolików, jak w ruchu Act Up używa się jej jako argumentu retorycznego, czegoś, co skutecznie zwalnia od myślenia. Macie „problemy małżeńskie”? – Musicie nauczyć się kochać na nowo. Można zezwolić na „homo-małżeństwa”? – Oczywiście, przecież się

kochają. Twoja toaleta nie reaguje na „kreta”? – Okaż jej więcej miłości. Cóż odpowiadać na takie zaklęcia? Niczego nie da się już dodać. Wszystko jest wcześniej ustalone.

Zwłaszcza że nie można protestować, nie stawiając się z góry na straconej pozycji. Spróbuj coś złego powiedzieć na miłość, a wyjdiesz na skrzyżowanie gbura z ignorantem. Bo miłość rzeczywiście jest odpowiedzią. Lecz słowo jest tak niejasne i tak wyświechtane, że użycie go mniej mówi niż wzruszenie ramion. Kocha się Boga, lecz kocha się również Dalidę. Kocha się swoją żonę, lecz kocha się też małże po marynarsku (niektórzy to nawet je „uwielbiają”). A to nie całkiem to samo. Inaczej mówiąc, miłość jest czymś bardzo dobrym, jest nawet dobrem nadrzędnym, ale ponieważ określa się w zależności od swego przedmiotu, za każdym razem trzeba brać pod uwagę byt, do którego się odnosi. Inaczej jest miłością *bez bytu*. Słowem-wytrychem. Uniwersalną wymówką.

Miłość jako pasja – Dramat jest w miłości mężczyzny i kobiety czymś, co w pierwszej chwili trudno zauważyć. Najpierw chciałoby się zachwalać miłość namiętną, co spada na ciebie jak fatum i wynosi na obłoki, z dala od marazmu życia zawodowego. Lizjasz tłumaczy, że ogarnięty taką pasją zakochany jest gorszy niż srogi nieprzyjaciel[25]. Z wrogiem wiesz, jak postępować, możesz się zabezpieczyć. Ale wobec kogoś, kto usycha za tobą z tęsknoty, jak tu nie zmniejszyć czujności? Taki to może zatruć ci serce. W swoim zakochaniu gwiżdże na swoje – i twoje – obiektywne dobro. Jesteś dla niego całym światem i jego lekiem na całe zło. Owszem, to fajne. I tym bardziej przerażające.

Ponieważ najbardziej w świecie boi się twego odejścia, nie chce, byś znała się z kimkolwiek, kto byłby od niego w czymś lepszy. Przeszkadza ci w twoim rozwoju, bo mógłby stracić swą moc urzekania. Gdy odkryjesz poezję, filozofię lub, co gorsza, Boga – cóż za katastrofa! Jesteś jego boginią: w jego interesie jest utrzymywać cię w niewiedzy, żebyś nie mogła zlekceważyć kultu, którym cię otacza. Tuczy cię więc rozrywkami, a gdy po wyprawie do Alpe-d'Huez, Istanbułu i Nowego Jorku stwierdzi, że zbrzydłaś lub że nie nadajesz się już w łóżku, poszuka sobie innej, lepszej lali.

W tej sytuacji rozgarnięty narzeczony mógłby oświadczyć swojej narzeczonej „Nie kocham cię”. Ona odczyta to jako znak, że jest mężczyzną jej życia, samą mądrością i że, w ogóle, nic jej nie robi.

Miłość dworska – Lepiej niż taka pseudomiłość – bo wolna od jej zaborczości – prezentuje się poezja miłości dworskiej. Odległość pozwala tu uniknąć przyziemnego spełnienia. Chodzi o kochanie kobiety, która nie jest własną żoną i która trwale pozostaje niedostępna. Trubadur Jaufré Rudel opiewa taką „daleką księżniczkę” – wystarczająco daleką, by jego dusza mogła oddawać się swoim fantazjom.

Jak się nie ma dalekiej księżniczki, można sobie znaleźć bliskiego mężczyznę. Jego przynależność do tej samej płci skutecznie zapobiega mieszczańskiemu skostnieniu. Ci, którzy nazywają siebie „gejami”, nierzadko są rzadkimi dziedzicami dworskiej miłości. To znaczy – miłości wcale nie wesołej, lecz wzruszonej własnymi łzami. Nie ma sensu im wypominać, że ich związek nie ma przyszłości, że jest

otoczony zakazem lub że jest niemoralny. To tak jakby winić Lancelota i Ginewrę lub Tristana i Izoldę. O tym, że dążą do zguby, wiedzą doskonale. Lecz właśnie ta zguba jest dla nich miłością prawdziwą: bezinteresownym, zupełnym oddaniem prowadzącym do utraty siebie. Wielkimi wzorami są dla nich słynne wzgardzone kochanki: Gaspara Stampa[26], Portugalska Zakonnica[27]... Gotowość do poświęceń jest podstawą ich wiary. I są bliżej prawdy niż mężczyzna i kobieta służący sobie wzajemnie za podgłówki.

Lecz czym jest poświęcenie, gdy nie prowadzi do nowego życia? Czy nie ma w tym raczej narcystycznego bohaterstwa, które nic nie ofiaruje, tylko ustawia nas w pozie jakiegoś świętego Sebastiana, który sam siebie przeszywa strzałami? „Aj, moje biedne serce! Moja zraniona dusza! Moje drogie ciało dotknięte niemocą!” itp.

Miłość z rozsądku – Wydaje się zatem, że lepiej zachwalać miłość rozsądną. Kocha się drugą osobę ze względu na jej dobro. Ewentualnie w celu posiadania potomstwa, które oddaje się do klasztoru, poświęca służbie państwowej lub przeznaczają ku chwale nauki. Tyle że – na dobrą sprawę – po co wychodzić za mąż? Czemu zwyczajnie nie woleć studentów? Zostawmy dzieci sztucznej macicy. Pracujmy nad rozsądkiem w związku. Bądźmy ze sobą racjonalni jak wykładowcy rozstrząsający trudną kwestię filologii. A gdyby jakaś Henryka zapytała nas: „Czyż mogą nas nie nęcić tak dobrane śluby?” – odpowiedzmy jej tyradą Armandy:

*Boże! Jakże twój umysł niski jest i gruby!
Jakże ty drobną czujesz się w świecie istotką,
Skoro w kuchni się zamknąć jest twą chęcią słodką*

*I żadne wyższe szczęście oczom twym nie świeci,
Jak tylko król-małżonek i wrzaskliwe dzieci!
I z pogardą na zmysłów świat patrząc i ciała,
Jak my, rozkoszom ducha chciej się oddać cała[28].*

Taka miłość uczonych białogłów znów staje się modna. Ale jest tak rozsądna, że aż nierozumna.

Miłość duchowa – Rozwiązanie może więc polega na miłości realnej, ale z gruntu duchowej? Niech miłość do kobiety nie zatrzymuje nas na niskich sprawach natury. Najukochańsza i najdroższa ma być nam fizyczną odskocznią do nieba: *Kochając się ze swoją żoną, Hindus myśli o Bogu, którego jest ona wyrazem i częścią[29].* – Co za szczęście! Po czymś takim można już patrzeć na inne bez wstydu – ze „świętym i oczyszczającym magnetyzmem”.

André Breton był adeptem tego rodzaju lirycznej religii: spotyka Nadję z jej „oczami paproci”, nazywa ją swym Cudem, swą Wyrocznią, swym Sfinksem, swą Meluzyną... To dlatego, przed końcem książki, przechodzi do Suzanne, żony Emmanuela Berla, następnie do Jacqueline Lamby uwiecznionej w *Szalonej miłości*, a także do innych, zawsze równie absolutnych... Kobieta, która staje się kanałem boskości, jest tylko nieco lepszym rodzajem kobiety-przedmiotu.

W Indiach przynajmniej byli konsekwentni, przyznawali otwarcie, o co chodzi: *Są też i tacy Hindusi, którzy onanizują się, myśląc o Bogu. Twierdzą, że czymś znacznie gorszym byłoby kochać się z kobietą (po*

europiejsku), która zanadto was wyodrębnia i która nie potrafi przejść od idei miłości do idei Wszystkiego[30].

Miłość jako szacunek – Może więc już lepiej trzymać się tego, co na ogół uważa się za małżeństwo chrześcijańskie: bierzemy sobie siebie za małżonków, by wzajemnie się uświęcać i razem się ofiarować Wszechmocnemu Panu w naszej nierozłącznej jedności. Pani jest tą, którą się szanuje. Jest nam towarzyszką w trudnym przedsięwzięciu naszego zbawienia.

W końcu jednak nieuchronnie postawi nam pytania: „Czy ty w ogóle mnie pożadasz? Czy ja cię pociągam? Czy fantazjujesz o mnie, o moim ciele?”. I bardzo dobrze. Małżeńska alkowa to nie klasztor. Powaby małżonki, stworzone przez Boga, powinny nas poruszać, czego nie można powiedzieć o powabach ojca przeora.

Mężowi, robiącemu w takim religijnym eterze, mówiącemu o przeczystej przyjaźni i wzajemnym szacunku, połowica mogłaby wygarnąć, jak ta z *Małżeństwa otwartego na oścież: Chcę, żebyś mnie wziął..., kochał..., rzucił na łożko... Chcę mieć rano takie sińce pod oczami! Przyjaźń, szacunek, poważanie. Basta!*[31] Zwłaszcza że postulat szacunku, który chce się obyć bez ciała, ma w sobie coś podejrzanego. To ulubiona cnota mężów mających kochankę. Nie inaczej cię pocieszają, jak mówiąc: *Ależ zrozum, z tamtymi to tylko seks, nic więcej!*[32].

Cały ten kwietyzm czystej miłości po prostu nie wie, czym jest miłość małżeńska. A ta prawdziwa jest tylko cielesna. Więc jako seks – plus jeszcze coś więcej. Bo prawdziwy akt cielesny zakłada akt wiary. Wierzę w tę wzajemną ordynację mężczyzny i kobiety częściami przednimi, w Opatrzność[33] jąder i jajników, macicy i nasienia, piersi, które rozgrzeszam aż do ich gruczołów, ciała słabego i śmiertelnego, ciała gąbczastego i ciała chwalebного. Jak już wspomniałem w poprzednim rozdziale, chodzi tu o doświadczenie komunii przez ciała wydane sobie aż do rozkładu, który rysuje się w grymasach twarzy, a także – jak wspomnę w następnym – o przerażenie macierzyństwem i ojcostwem, które rośnie razem z radością. Nawet gdy w sprawach ciała istnieją jednocześnie i piękna, i bestia, nawet gdy pocałunek zmienia księcia w żabę, by go znowu potem odczarować, mają one więcej z ducha, niż to sądzi uczona niewiasta i mieszczanin-surrealista. *Niesamowite i dosłownie magiczne może wydawać się to – pisze Jean Paulhan – że wbrew temu, co myślał Gide, seks nie jest dla miłości przeszkodą ani miłość przeszkodą dla seksu. Przeciwnie – jak za sprawą cudownej przemiany seks może stać się miłością, a miłość zmienić się w seks: w gwałtowny atak lub w rozkoszną uległość. Znacznie mniej dziwna byłaby przemiana dyni w karocę[34].*

W tej magii, która łączy wulgarność z cudownością, dramat małżeński objawia swój „wieczorny” charakter (podczas gdy dramat życia konsekrowanego jest „dzienny”, a „nocny” – życia rozwiązłego). Ponieważ ten dramat musi cieleśnie wyrażać komunię osób, bierność tego, co zmysłowe, i czynność tego, co sercowe, są w nim nie do odróżnienia. Trudno tu rozeznać, kiedy górę bierze szczere ukochanie, a kiedy niekontrolowany poryw płci. Oba przenikają się nawzajem i powstrzymują, by żadne z nich nie miało przewagi nad drugim. Gdy tylko zapragnę kochać ją dla niej samej, natychmiast kapituluję przed

jej ciałem – lecz w tej kłętce zaraz odkrywam, jak bardzo potrzebuję jej czułości. Gdy zdaje mi się, że chcę tylko jej ciała, nagle się przed nią otwieram – po czym znów, w tym otwarciu, chcę się z nią wpuścić w maliny. Przebiegłość ciała. Ociążałość ducha. Wzajemna inwolucja jednego z drugim.

Nie sposób tu odróżnić, jaką część zajmuje potrzeba, a jaką dar, jaką fizyczna wygoda, a jaką duchowy obowiązek, jaką ciało, które się podnieca, a jaką serce, które się wzrusza. Oczywiście mógłbym być jak święty Franciszek z Asyżu, a moja żona jak święta Klara, ale ponieważ sypiamy ze sobą, ponieważ udzielamy sobie cielesnej gościny, po prostu niemożliwe, by nasza miłość wydała nam się równie czysta co miłość tych dwojga. Taki jest smutek w naszej radości. Taka jest wojna w naszym pokoju. Dlatego trzeba nam z pokorą przyjmować takie pomieszanie. Nie zadręczać się, jak Tołstoj, czystością, która się nie należy, lecz modlić się – jak należy – na czterech kolanach, wieczorem, aby odegnać demona wygodnej nieczystości.

Wiara w ciało

Często mówiono, że Kościół katolicki mieści w swoim łonie Ateny i Jeruzalem. Czy zatem jest tak, że w tym samym łonie, jak w łonie Rebeki, bracia-bliźniacy prowadzą ze sobą walkę? Objawienie żydowskie głosi chwałę ciała. Myśl grecka z początku reaguje na nią tylko silnym oporem. Dla epikurejczyków ciało jest raczej miejscem przyjemności, ale śmierć nieodwołalnie je rozkłada. Dla nurtów platonizujących ciało jest raczej grobem, ale śmierć powoduje wyzwolenie duszy. Jakież to kłopot dla apostołów – gdyby byli filozofami – w głoszeniu Dobrej Nowiny o takim napięciu, że nie mieści się w

żadnym z obu przeciwnych stanowisk. Oto muszą głosić Ducha, który wyzwala, a zarazem Słowo, które stało się ciałem. Gorzej – muszą głosić ukrzyżowanego Mesjasza, który po trzech dniach zmartwychwstaje, ale któremu pozostają rany! Wobec takiej nauki hedonistyczny materialista i eteryczny spirytualista – którzy z zasady pozostają w konflikcie – nagle jednoczą się we wspólnej kpinie. Kiedy Żyd Paweł przemawia przed Areopagiem, wszyscy go słuchają – do chwili, gdy zaczyna mówić o zmartwychwstaniu: *Gdy usłyszeli o zmartwychwstaniu, jedni się wyśmiewali, a inni powiedzieli: Posłuchamy cię o tym innym razem* (Dz 17,32). Czy bronią się przed słowami Pawła, czy raczej odnoszą się do tego, co ich wzajemnie skłóca? Nauka Pawła zakłada z jednej strony pochwałę ciała, a z drugiej – wymagania ducha. Ma wszystko, by móc ich pogodzić. Lecz dla tych, którzy utkwili w koleinach starej polemiki, zapowiedź wyższej zgodności jest niezrozumiała.

Tajemnica Wcielenia jest bez wątpienia bliska głębi naszego serca. Lecz dla naszego rozumu najpierw wydaje się absurdem. Spirytualiści uważają, że jest zbyt materialna, materialści – że zbyt duchowa: każdy z nich obarcza ją błędem swego rodzzonego wroga. Tymczasem Kościół podtrzymuje skrajne napięcie Janowej formuły: *A Słowo stało się ciałem* (J 1,14). Dlaczego „ciałem”, a nie „człowiekiem”? Chociaż „ciało” jest tu synekdochą całego, cielesno-duchowego człowieka, to jednak przyjmuje się termin *Incarnatio*, a nie *Inhumanatio*, który pewien zapomniany Fakundus z Hermiane próbował wprowadzić do łacińskiej teologii. Na domiar złego, słowo „ciało” ma inne użycia, które formuły Jana mogą nadawać dziwnych konotacji. To samo słowo odnosi się do małżonków, gdy są *jednym ciałem* (Mk 10,8) i tym samym słowem święty Paweł określa wszystko, co sprzeciwia się Bogu: *Ciało bowiem do czego innego dąży niż duch* (Gal 5,17). Święty Augustyn przeciw spirytualistom podkreśla, że to drugie użycie jest dwuznaczne. Kiedy Paweł używa słowa „ciało” na określenie tego, co prowadzi nas do zła,

trzeba je rozumieć jako „pychę”: *Człowiek stał się podobny diabłu nie przez to, że ma ciało, którego przecież diabeł nie ma, lecz przez to, że żył według siebie, to znaczy według człowieka*[35]. Faktem jest jednak, że Nowy Testament zamiast kilku terminów używa tylko jednego, nawet za cenę zamętu u czytelników i ryzyka błędnej interpretacji, która mogłaby przypisać chrześcijaństwu pogardę dla ciała. Czy zatem tekst jest źle napisany? Czy nie lepiej byłoby użyć trzech różnych słów: jednego – na określenie ciała, w które oblekło się Słowo, drugiego – na ciało, które tworzą mężczyzna i kobieta w miłosnym akcie, i trzeciego – na ciało, które jest skłonnością do zła? Czy w ten sposób nie uniknęlibyśmy sporego zamieszania? Na pewno tak. Lecz wówczas Pismo Święte byłoby dziełem spekulatywnym, zamiast być najpierw miejscem próby. Jego różne użycia „ciała” są nie tyle terminami z zakresu języka, co wyrazem podstawowej kwestii. Oto Słowo, które stało się ciałem, to zarówno Przedwieczny, który poślubia ludzkość, stając się z nią jednym ciałem, jak Święty, który bierze na siebie nasze pożądliwe ciało, zniżając się aż do poziomu przestępcy... Równanie na tyle wstrząsające, że wymaga od czytelnika bardziej aktu wiary niż teoretycznej interpretacji.

Zauważmy przy okazji, że w całej Biblii czasownik „znać” posiada podobną dwuznaczność, bo oznacza mianowicie „dzielenie łoża”. Po raz pierwszy pojawia się w Księdze Rodzaju: *Adam poznał Ewę, żonę swoją* (Rdz 4,1), lecz w szczególny sposób wraca przy okazji powołania Mojżesza, gdy Pan mówi: *I poznacie, że Ja, Pan, Bogiem waszym* (Wj 6,7). Ubóstwo hebrajskiego słownictwa? – Głębia Boskiej ironii. To, że spotkanie z Bogiem może się nazywać dosłownie tak samo jak zjednoczenie płciowe – z jego ruchami, z jego wydzielinami, z jego finałowym rozpadem – oto co powinno nas bez końca wprawiać w zdumienie. Rabbi Józef Gikatilla, XIII-wieczny kabalista, wyciąga z tego antropologiczne wnioski: *Rozumie się samo przez się, że gdyby rzecz*

cała nie miała w sobie wielkiej świętości, nie nazywałaby się poznaniem [...]. *Narządy płciowe byłyby narządami budzącymi wstęć, a* *przecież to Imię je stworzy!*[36]. Oto powód, dla którego należy się „poznawać” z entuzjazmem nieznanym zarówno adeptom platonizmu, jak i epikurejczykom: nasze części genitalne są tak samo darami Stwórcy co nasze twarze. Optymizm rabiego Józefa jest teoretycznie słuszny i równoważy pesymizm, który w tej kwestii wyrażał choćby Majmonides. Na plan dalszy jednak odsuwa istnienie dramatu. Ironia świętej terminologii ma bowiem nie tyle doprowadzać nas do wniosków filozoficznych, co wprowadzać w intrygę egzystencji.

I właśnie temu intrygującemu „poznaniu” zaprzecza doktryna gnostycka. Oto co w swojej *Etyce* Izydor, syn i uczeń Bazylidesa, zaleca wyznawcy, którego toczy pożądanie: *Uczep się tedy jakiejś krzepkiej niewiasty, abyś nie postradał łaski u Boga, i ugaś najpierw płomień żądzы wyrzuceniem z siebie nasienia, a potem módl się, mając już czyste sumienie!*[37] Ten nakaz sypiania, gdy tylko dopadnie cię chuć, kryje w sobie największą pogardę dla czynności. Sprowadza ją do lewatywy. Traktuje tak, jakby chodziło o pozbycie się zaparcia, by móc przejść do jakichś wyższych zajęć. „Poznanie” Boga (gnoza) nie ma nic wspólnego z „poznaniem” kobiety (płeć). Duch jest czymś obcym dla ciała. Ciało jest tylko okryciem, które ewentualnie wdziewa się przy okazji kolejnych reinkarnacji, które tresuje się pod włosienicą, któremu daje się wyżyć na dziewce, ale które nie może mieć udziału w Królestwie. Gnostyk Walentyn uważa, że ciało Słowa mogło być tylko pozorne, bo w jaki sposób – jak twierdzi – bóstwo miałoby załatwiać swoje potrzeby? Myśl ta wydaje się bluźniercza. A jednak...

Georges Bataille, występując pod jednym ze swych pseudonimów jako „Lord Auch” (skrót od „Pana w kiblu”), zdaje się wystawiać tę niestosowność na pośmiewisko będące podstawą jego „ateologii”. Były seminarzysta głosi walentynianizm. Lecz nagle jego teza się odwraca, a on sam przyznaje w olśnieniu, że *Lord Auch to Bóg, który się wypróżnia. Żywotność historii wyklucza obciążenie... Pogrążony w tym Bóg odmładza niebo*[38]. W jednej chwili Bataille przechodzi z gnozy do katolickiej doktryny. To, co wyglądało na sprzeczne z niebem, jawi się jako to, co je odmładza. Prawdziwy Bóg będący prawdziwym człowiekiem zjednoczył się z naszą naturą tak ściśle, że nie tylko cierpi – co mu jeszcze zostawia resztki szlachetności – ale że znosi nawet przypadłość naszej fizjologii – od porannej erekcji do koniecznej defekacji. To tylko pozorne bluźnierstwo. Za nim, w jedyny i niesłychany sposób, kryje się młodość Boskiego miłosierdzia.

Od *massa perditionis* do Mistycznego Ciała

Tę mistykę ciała – która nas tak radykalnie odróżnia od anielskiej „przezroczystości” – Tomasz z Akwinu rozwija przy pomocy swojej nauki o przynależności do ciała[39]. Pokazuje on, za świętym Pawłem, że mistyka ta pomaga pojmować tajemnicę grzechu pierworodnego i Kościoła jako Sakramentu Zbawienia. Jeżeli wskutek płodzenia wszyscy tworzymy jakby jedno ciało, to szczególne miejsce należy tu przyznać pierwszemu z gatunku – Adamowi, który jest płodzącym, ale nie spółodzonym przez innego człowieka. Jest on więc głową ludzkości w porządku natury. Lecz jeden z jego potomków według ciała – Jezus, z racji swej Boskiej godności, również zasługuje na tytuł pierwszego człowieka. Jest On więc głową ludzkości w porządku łaski. A to, co zachodzi w głowie, rozchodzi się po członkach. Wielki grzech Adama

przechodzi na wszystkich jego potomków w drodze współżycia ciała. Wielka łaska Chrystusa – nowego Adama udziela się wszystkim grzesznikom za pośrednictwem rany Jego boku. Taki jest głęboko cielesny i dramatyczny sens słów świętego Pawła: *Jeżeli bowiem przestępstwo jednego sprowadziło na wielu śmierć, to o ileż obficie spłynęła na nich wszystkich łaska i dar Boży łaskawie udzielony przez jednego człowieka, Jezusa Chrystusa [...]. Gdzie jednak wzmógł się grzech, tam jeszcze obficie rozlała się łaska* (Rz 5,15 i 20).

Nasz wspólny upadek i nasze wspólne odkupienie zachodzą więc na zasadzie przynależności do gatunku, dzięki czynności rodzenia. Grzech anioła jest ściśle indywidualny: kara, którą za niego ponosi, nie mogłaby przejść na żadnego innego „z przyrodzenia”. Szatan pociąga do swego upadku inne duchy nie tak jak ciało, które pociąga za sobą pozostałe swoim ciężarem, lecz w drodze czysto intelektualnego uwodzenia, „pod wpływem przykładu lub namowy”. Gdyby w dziele Odkupienia Słowo stało się aniołem, Jego łaska nie mogłaby udzielić się innemu aniołowi, gdyż każdy z nich należy do odrębnego gatunku i żadnego nie łączy z drugim ta nasza tajemnicza więź gliny. Tajemnica Boga, jaką jest Wcielenie, dotyka nas najpierw nie przez głoszenie mądrości ani przykład cnoty, ale przez ciało, przez miłosne zbliżenie. Wcielony tworzy z nami jeden organizm i chce, by mogła w nim krążyć krew Jego Boskiego życia. Masa zatracenia – *massa perditionis*[40], którą jesteśmy w Adamie, zmienia się w Mistyczne Ciało Chrystusa. Legion grzeszników staje się społecznością świętych. Bowiem to wszystkich mieszkańców tego ziemskiego padołu – a nie tylko porządnym chrześcijan – ogarnia sobą głęboki oddech Głowy – jej tchnienie i krzyk: *Członkami ciała mistycznego* [tj. Kościoła] *nazywamy nie tylko tych, którzy są nimi aktualnie, lecz również tych, którzy mogą nimi być*[41].

Lecz to włączenie ludzkości w Ciało Słowa, wyrażające się w relacji członków do głowy, przejawia się również w zjednoczeniu mężczyzny i kobiety. Pierwszy cud Chrystusa – przemiana wody w wino – spełnia się w trakcie wesela w Kanie. Ścięcie głowy Jana Chrzciciela, Jego poprzednika, jest ceną za świadectwo o nierozzerwalności małżeństwa: *Nie wolno ci mieć żony twego brata* – mówi Jan do Heroda, budząc tym wściekłość Herodiady (Mk 6,18). Przyjście Mesjasza i zjednoczenie płci wyglądają, jakby wymieniały się obrączkami. Oto jak świadomy cielesności święty Paweł tłumaczy to w swym olśniewającym fragmencie Listu do Efezjan: *Przecież nigdy nikt nie odnosił się z nienawiścią do własnego ciała, lecz [każdy] je żywi i pielęgnuje, jak Chrystus – Kościół, bo jesteśmy członkami Jego Ciała. Dlatego opuści człowiek ojca i matkę, a połączy się z żoną swoją i będą dwoje jednym ciałem. Tajemnica to wielka, a ja mówię: w odniesieniu do Chrystusa i do Kościoła* (Ef 5, 29-32). Paweł przechodzi tu wprost od Mistycznego Ciała do zjednoczenia małżonków. Bycie jednym ciałem, tworzenie jednego ciała – obie te rzeczy się łączą. Teologia odkrywa najwyższą erotykę. Praktycznie można by tu mówić o Boskiej pornografii. Oto przez swoje Wcielenie, Słowo wchodzi w ludzi. Konsumuje swe zaślubiny z nami wszystkimi, przenika nas tak, jak mężczyzna wnika w dziewicę i – jeśli to możliwe – jak święty w prostytutkę. Penetruje nasze najgłębsze głębie. Schodzi nawet niżej naszej nędzy: współżyje z trądem, obcuje z odorem Golgoty. Bynajmniej nie przesadzam tu z porównaniem. Pornografem Boga jest ten, który mówi o sobie „poroniony płód” (jakby poronione płody miały stać się kiedyś naszymi apostołami). Nawiązuje tu do długiej tradycji proroków, która głosi, że *Pan będzie miał rozkosz w tobie, a ziemia twoja będzie zamężna. Albowiem jak młodzieniec pannę pojmuje, tak cię sobie pojmą synowie twoi* (Iz 62, 4-5).

O cielesnym kontakcie ze Słowem mówią zresztą same Ewangelie. Ich pismo wciąż krytykuje to, co napisane, a nawet to, co powiedziane. Chce, by usta przeszły od aktu czytania do aktu całowania. Sama misja Jezusa polega na wypełnieniu przez dotyk daru, który Bóg już wcześniej uczynił przez Torę. Chrystus nakłada swe ręce na chorych, daje się chwycić kobiecie cierpiącej na krwotok, przykleja błoto na oczy niewidomego, polewa śliną język niemego. Z pewnością nie zagrzałby miejsca w porządnej rodzinie: żeby uzdrowić chłopaka z jąkania, musiałby napluć mu w usta. Kto by nie przepędził takiego szarlatana? Bo w odniesieniu do Wcielonego Słowa nie chodzi najpierw o intelektualne rozumienie, moralne przekonanie albo uczuciowy wzlot. Chodzi o taki związek fizyczny jak fizyczne jest wylanie nasienia, by rosło – o ile mu się tylko na to pozwoli – niczym noworodek w ciemnościach łona. Stąd te sakramenty, które realizują na ziemi dotknięcia Słowa po Jego wstąpieniu do nieba. Stąd – przede wszystkim – sakrament Eucharystii: oto Ten, który jest najbardziej duchowy, oddaje siebie w najbardziej prozaicznej czynności żywego organizmu. Cóż bardziej przeciwnego wszelkim dualizmom? „Jedz, synu” jest duchowością najwyższą z możliwych. Skoro więc nasz związek ze Słowem stał się w pewnej chwili związkiem fizycznym, trzeba, aby Słowo karmiło nasze ciała: *Każdy żywi własne ciało* – mówił nam święty Paweł – *tak właśnie czyni Chrystus swemu Kościołowi*[42] (Ef 5,29). Lecz tutaj to nie jedzący spożywa Hostię – to Hostia spożywa jedzącego, włącza go w Swoje Ciało. *Niech mnie ucałuje pocałunkami swych ust!* (Pnp 1, 2) – intonuje Oblubienica z Pieśni nad Pieśniami. To spożywanie przez Stworzyciela jest Jego pocałunkiem, a przez to całowaniem całego stworzenia, ogarnianiem go „rzeką mocy i krwi”, kochaniem przekraczającym najśmielsze oczekiwania Pazyfae. Ksiądz Journet wspomina tu o przemocy skrytej za takim zjednoczeniem: *Każda komunia jest miłosnym uściskiem – krwawym uściskiem: oto*

sam Krzyż się nam otwiera, a my mówimy: Nie, to niemożliwe, nie ja, Jezu...[43] Przychodzi bowiem zaślubić swego oprawcę. Taki sobie znalazł sposób na rozdarcie jego serca.

Jakimż więc absurdem jest robić z chrześcijaństwa moralizatorskie gadulstwo. Dobrze o tym wiedzieli jezuici czasów kontrreformacji. Prosto w twarz rozgadany purytanom rzucali Rubensowskie rozpasanie, żeby ich bardziej rozzłościć. Wspomina o tym Paul Claudel w swoim *Atlasowym trzewiczku*. Gdy Wicekról Neapolu wyraża pogląd, że tylko wielki malarz nagiego ciała może uwolnić Flandrię od protestanckiej herezji, jego kapelan protestuje: *Nigdy bym nie pomyślał, że Rubens był głosicielem Ewangelii!* Wówczas Wicekról przywołuje go do porządku ortodoksji:

*Czegóż to chcieli ci smutni reformatorzy, jak nie stłumić Boga,
Sprowadzając chemię zbawienia między Bogiem a człowiekiem do
jakiegoś poruszenia wiary,
Do jakiejś osobistej a pokątnej transakcji w ciasnym pokoiku,
Rozdzielając wiernego i jego zlaicyzowane ciało...
Kto zatem lepiej niż Rubens dokonał pochwały Ciała i Krwi – tego
samego ciała i tej samej krwi, Które sam Bóg zapragnął przybrać, a
które są narzędziem naszego zbawienia?
Podobno nawet kamienie wierzyć będą! Czemu więc tylko ciało
człowieka odmawiasz języka?
To Rubens zmienia mdłą i ciekłą wodę w nieśmiertelne i wyborne
wino*[44].

Cud z Kany spełnia się pod pędzlami „złotej pracowni”[45]. Tym, dla których chrześcijaństwo to tylko *sola scriptura*, pozostaje się gorszyć podobną zdrożnością: tą Madonną podobną do Wenery, której pierś zbyt beztrosko wystaje z gorsetu, by podać się do ssania Boskiemu Dziecięciu, tym Chrystusem ze *Złożenia do grobu* rozciągniętym jak naga Zuzanna podglądana przez starców... A przecież ta nieprzyzwoitość jest jedynie rewersem miłosierdzia. Przez świetlistą tłustość swych postaci – perlistość ich skór, zmysłową, a macierzyńską wielkoduszność ich wałków ściągających się w zawrotne harmonie, ich ud-bryczesów, które rywalizują z gwiazdami – Rubens przypomina o chwale naszego ciała, odkąd Słowo w nie weszło jak w żonę. Pismo Święte to na pewno miłosne oświadczyńy – ale czym by one były bez zbliżenia ciał? Sakramenty są miłosnym zbliżeniem.

Fabrice Hadjadj

Autor jest francuskim filozofem, dramaturgiem i eseistą. Pełni funkcję dyrektora Instytutu Antropologii Chrześcijańskiej Philanthropos we Fryburgu. Mąż, ojciec sześciorga dzieci.

Tekst ukazał się w kwartalniku Christianitas. Publikujemy go za zgodą redakcji

Przypisy:

[1] M. Heidegger, *Przewyciężenie metafizyki* [w:] *Budować, mieszkać, myśleć: eseje wybrane*, Czytelnik, Warszawa 1977.

[2] Dla gnostyków Prometeusz jest dawcą *boskiej* wiedzy. Np. H. Bławatska uważała, że w jego osobie została ukarana ludzkość za zdobycie wszelkiego zrozumienia, w tym *wiadomości dobra i zła*, i że gnoza daje wtajemniczonym dostęp do wiedzy *pierwotnej* (por. *Nauka tajemna*, ks. IV, sekcja VI i *Glossaire théosophique*, hasło *Prométhée*) – przyp. red.

[3] H. de Montherlant, *Pasiphaé* [w:] *Théâtre*, Gallimard, Paris 1972.

[4] Heraklit z Efezu, *Zdania*, zd. 8.01 i 8.02, Słowo/Obraz Terytoria, Gdańsk 2005 – przyp. tłum.

[5] Św. Teresa od Dzieciątka Jezus, *Dzieje duszy*, rozdz. 9, Wydawnictwo Karmelitów Bosych, Kraków 2007 – przyp. red.

[6] J. W. von Goethe, *Faust*, cz. I, *Kuchnia czarownicy*, tłum. A. Pomorski, Świat Książki, Warszawa 1999.

[7] Modliszka zwyczajna (*Mantis religiosa*) – przyp. tłum.

[8] P. A. de Beaumarchais, *Szalony dzień, czyli Wesele Figara*, akt II, sc. 21, tłum. T. Boy-Żeleński, Ossolineum, Wrocław 1993.

[9] Basile de Césarée, *Homélies sur l'Hexameron*, IX, 4, Cerf 1968, s. 533.

[10] Jean Carpathios, *Chapitres d'exhortation*, 46-47 [w:] *Philocalie des pères neptiques*, Abbaye de Bellefontaine, 1981, fasc. 3, ss. 108-109.

[11] Paul Claudel, *L'Echange*, akt II [w:] *Théâtre*, Gallimard, Paris 1956.

[12] F. Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, I, *O wżgardzicielach ciała*, tłum. W. Berent, Warszawa 1905. Por. też: *Ciało jest wielkim rozumem, mnogością o jednej treści, jest wojną i pokojem, jest trzodą i pasterzem* [...]. *Ja powiadasz i chełpisz się z tego słowa. Lecz rzeczą większą – w co wierzyć nie chcesz – jest twe ciało i jego wielki rozum: ono nie mówi: ja, ono ja czyni* – przyp. tłum.

[13] Arystoteles charakteryzował człowieka m.in. jako *zoon logon ehon* – istotę żywą posiadającą *logos*, tj. rozum i język – przyp. red.

[14] *Cóż o tym mniemasz, powiedz stary kusi, Priapie? Nieraz przekonałem się, iż rada twoja i sąd sprawiedliwe są i do rzeczy*. Et habet tua mentula mentem[...] – F. Rabelais, *Gargantua i Pantagruel*, ks. V, tłum. T. Boy-Żeleński, PIW, Warszawa 1973, s. 26. Rabelais był na krótko tytularnym proboszczem małego miasta Meudon – przyp. tłum.

[15] Św. Tomasz z Akwinu, *Suma teologiczna*, t. 7, zag. 98, art. 2, opr. P. Bełch, Londyn 1975.

[16] Tamże – przyp. tłum.

[17] Tamże. Fragment dostosowany do cytatu francuskiego – przyp. tłum.

[18] Św. Augustyn, *Państwo Boże*, ks. XIV, rozdz. 26, przeł. W. Kubicki, Antyk, Kęty 1998, s. 544.

[19] Św. Tomasz z Akwinu, *Suma teologiczna*, t. 7, *Człowiek*, zag. 100, art. 1, opr. P. Bełch, Londyn 1975.

[20] Św. Augustyn, *Państwo Boże*, ks. XIV, rozdz. 23, przeł. W. Kubicki, Antyk, Kęty 1998, s. 541.

[21] Paul Claudel, *Le Soulier de satin*, dz. III, sc. VIII. Polski przekład *Atłasowego trzewiczka* obejmuje tylko skróconą wersję dramatu – przyp. tłum.

[22] W oryginale: *Tout châtiment a pour but de rendre chaste*. Autor łączy etymologię słowa *châtiment* (łac. *castigatio* – kara) z etymologią słowa *chaste* (łac. *castus* – czysty). Po polsku podobna gra słów może wystąpić w przypadku słowa *sankcjonować* (łac. *sancire* znaczy *uświęcać, ustalać*, ale również *karać*) – przyp. tłum.

[23] Św. Augustyn, *Państwo Boże*, ks. XIV, rozdz. 20, przeł. W. Kubicki, Antyk, Kęty 1998, s. 537.

[24] Grecki *kautērion* był żelazem do wypalania piętna. Kauter (żegadło) jest narzędziem chirurgicznym do oczyszczania ran – przyp. tłum.

[25] Platon, *Fajdros*, 231 a–234 c.

[26] Gaspara Stampa (1523-1554) – włoska poetka renesansowa – przyp. red.

[27] Mariana Alcoforado – prawdop. autorka listów miłosnych do francuskiego oficera wydanych w 1696 r. w formie powieści epistolarnej – przyp. red.

[28] Henryka chwali się swojej siostrze Armandzie, że kocha Klitandra i marzy o ślubie. Armanda, która wcześniej odrzuciła zaloty Klitandra, gardzi *miłością zwykłych kobiet*, bo uznaje tylko *filozofię, co wznosi nas wysoko ponad rodzaj ludzi / I rozumu wszechwładztwo w sercu naszym budzi* – przyp. tłum. Molière, *Uczone białogłowy*, akt I, sc. I [w:] *Dzieła*, t. 3, tłum. T. Boy-Żeleński, PIW, Warszawa 1988.

[29] Henri Michaux, *Barbarzyńca w Azji*, Świat Literacki, Izabelin 2005, s. 37.

[30] Tamże.

[31] Dario Fo i Franca Rame, *Couple ouvert à deux battants* [w:] *Récits de femmes et autres histoires*, Dramaturgie, 1986, ss. 127-128.

[32] Tamże, s. 123.

[33] W sensie: *przeznaczenie, sens zbliżenia* – przyp. tłum.

[34] Jean Paulhan, *Entretiens à la radio avec Robert Mallet*, Gallimard, 2002, s. 112.

[35] Św. Augustyn, *Państwo Boże*, ks. XIV, rozdz. 3, przeł. W. Kubicki, Antyk, Kęty 1998, s. 511.

[36] Joseph Gikatilla, *Lettre sur sa sainteté*, tłum. Ch. Mopsik, Lagrasse, Verdier, 1986.

[37] Klemens Aleksandryjski, *Kobierce*, III, 1, PAX ATK, Warszawa 1994, s. 230.

[38] Georges Bataille, *Le Petit* [w:] *Œuvres complètes*, t. III, Gallimard 1971. W cytowanym fragmencie jest ponadto istotny element: *Wszelkie stworzenie wychodzi z niego przemienione*. Pisarstwo Bataille'a jest naznaczone m.in. dramatem niewidomego, chorego wenerycznie i umysłowo ojca, stąd skrajne obrazoburstwo w sferze religijnej i intymnej – przyp. tłum.

[39] Św. Tomasz z Akwinu, *Suma teologiczna*, t. 12, *O wadach i grzechach*, zag. 81, opr. F. W. Bednarski, Veritas, Londyn 1965. Autor używa terminu *incorporation*, który nie pada w wymienionym fragmencie *Sumy* – przyp. tłum.

[40] Wyrażenie to wskazuje nie tyle na liczbę potępionych, co na kondycję ludzką. Mówiąc o *masie*, św. Augustyn ma na myśli *ciasto, surowiec*, jaki tworzy ludzkość po upadku. Por. A. C. De Veer, *Massa perditionis*, Bibiothèque augustinienne 22 (1975), hasło *Damnatio* – przyp. tłum.

[41] Św. Tomasz z Akwinu, *Suma teologiczna*, t. 24, *Tajemnica wcielenia Słowa Bożego*, zag. 8, art. 4, opr. S. Piotrowicz, Veritas, Londyn 1962.

[42] Parafraza Autora – przyp. tłum.

[43] Charles Journet, *Entretiens sur l'Eucharistie*, Parole et Silence, 2000, s. 77.

[44] Paul Claudel, *Soulier de satin*, dz. II, sc. V [w:] *Théâtre*, Gallimard, t. II, Paris 1965. Por. przyp. 21 – przyp. tłum.

[45] Rubens stworzył w Antwerpii ogromną pracownię, w której zatrudniał licznych artystów i dzięki której zdobył fortunę – przyp. red.